



## Violetta Kluczek

Sygnatura notacji: **N0559**

Data urodzenia: **12.08.1963 r.**

Data nagrania: **8.02.2024 r.**

Miejsce nagrania: **dom świadka, Siedlce, Polska**

Prowadząca/y rozmowę: **Tomasz Sikorski, Tomasz Zygmunt**

Czas nagrania: **66 min**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



### TRANSKRYPCJA



INSTYTUT  
PAMIĘCI  
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

**Violetta Kluczek:** Witam serdecznie. Nazywam się Violetta Kluczek. Pochodzę z robotniczej rodziny. Mama była pielęgniarką, tata był strażakiem. Rodzina katolicka. Myślę, że wychowali mnie w bardzo dobrej..., dobrym nastawieniu religijnym, z takim poczuciem wartości życiowych. Chodziłam tutaj w Siedlcach do szkoły podstawowej i trochę średniej, ale zawsze moim jakimś tam duchem wewnętrznym była wieś. Była natura, była przyroda. I koniecznie chciałam iść do szkoły rolniczej. Tu, w Siedlcach nie mogłam się dostać na ten kierunek, który chciałam, więc złożyłam dokumenty do Miętnego do szkoły, no i tam zaczęła się moja edukacja. Mieszkałam w internacie, bo do Miętnego jest prawie 70 km. Mieszkałam w internacie. Bardzo sobie chwaliłam tamten okres młodzieżowy. Dużo żeśmy jeździli, zwiedzali jako uczniowie, należałam do..., to było Stowarzyszenie Młodzieży Wiejskiej, i z naszymi wychowawcami żeśmy zwiedzali Polskę wówczas. Szkołę zaczęłam w osiemdziesiątym, w 1980 roku, a w 1984 roku właśnie doszło do tych zdarzeń, które zapisały się bardzo chlubnie na kartach historii Polski. Ja w szkole byłam dosyć dobrą uczennicą, zawsze miałam takie predyspozycje, trochę może przywódcze, trochę takie organizacyjne. W związku z tym wybrana byłam kilkakrotnie na przewodniczącą klasy i dwa lata po kolei byłam zastępcą przewodniczącego internatu. Co później bym powiedziała, teraz z perspektywy czasu miało bardzo duży wpływ na..., znaczenie miało ogromne wśród kolegów i koleżanek, z którymi się w szkole zadawałam. Szkoła nasza to była taka stricte nowoczesna szkoła. Była to wzorcowa szkoła dla partii, dla ministrów, dla [premiera] Jaroszewicza. Tam były wyłożone ogromne pieniądze. Jako szkoła – przepiękny budynek. Basen w tamtych czasach to była w ogóle rzadkość w kraju naszym, żeby był basen, jeszcze przy szkole. Nauczyciele mieli postawione domki i tymi domkami byli ściągnięci z całej Polski, bo każdy już miał swoje własne miejsce. Internat mieścił 400 uczniów, cała szkoła 600, a internat 400. Czyli można powiedzieć, że szkoła była w internacie. Co jeszcze bardziej nas ze sobą łączyło i wiązało, bo wszyscy

żeśmy jedli razem posiłki, razem wyjeżdżaliśmy na jakieś tam rajdy, wycieczki, popołudnia spędzaliśmy razem, dyskoteki były w szkole robione, także to była nasza jedna wielka rodzina. No i w tej mojej klasie maturalnej, to był rok 1983, nasza klasa to była jeszcze o tyle dziwna, że naszym wychowawcą była rusycystka. Co się narzuca, wiadomo, że ona miała trochę inne poglądy niż my i w momencie, kiedy nasza klasa na lekcji religii w rozmowie z księdzem Bieńko poruszyła temat zdjętych krzyży w szkole, wszyscy byliśmy tym zbulwersowani, zaniepokojeni i mówimy trzeba będzie do dyrektora złożyć petycję... Bo w szkole u nas taki był zwyczaj, że w każdy poniedziałek były organizowane apele i na tym apelu była relacja z poprzedniego tygodnia albo plan zajęć dla całej szkoły na ten tydzień. No i tak w każdy poniedziałek żeśmy się zbierali na dużej przerwie. I żeśmy postanowili zapytać dyrektora o fakty, zdjęcia krzyży w szkole. Napisaliśmy prośbę. To wyszło właśnie z naszej klasy, pomimo że wychowawczyni była jakby przeciwko nam. Dyrektor wówczas odpowiedział oficjalnie, że my jesteśmy uczniami i my w ogóle nie mamy prawa głosu. Mamy wykonywać to, co się w szkole dzieje i dowidzenia. Odwrócił się i wyszedł. No i tym potraktowaniem nas jako przedmiot, jako osoby, które nic nie znaczą w życiu szkoły, wkurzył nas. Po południu żeśmy się spotkali z większą grupą młodzieży z całej szkoły. Co to w ogóle ma znaczyć? Dlaczego dyrektor tak nas potraktował? Dlaczego nie chce nam udzielić odpowiedzi? Wszyscy już byli wkurzeni. Napisaliśmy drugi raz na następny apel pismo do dyrektora z konkretnymi wyjaśnieniami. Dlaczego? Po co? Kto kazał? Czy to jego, czy to nie jego pomysły? Żeby nam udzielił odpowiedzi. I znów nas zbagatelizował. Więc postanowiliśmy, że zademonstrujemy naszą niechęć do tych działań i na kolejnym apelu, to cały czas wszystko się działo jeszcze w grudniu, po wygłoszeniu przez dyrekcję i radę szkolną jakichś tam informacji bieżących, nie rozeszliśmy się do klas. Zaśpiewaliśmy trzy pieśni religijne czy cztery, dając znak, że nie zgadzamy się z tym, co dyrektor powiedział i jeżeli nam nie da konkretnych odpowiedzi na ten temat, to my będziemy po prostu walczyć. Trochę zaskoczyliśmy dyrektora tą naszą postawą. Cała szkoła. Później dyrektor oczywiście powiedział, że to jest nie nasza sprawa i nie mamy prawa głosu. Zarządził przed Wigilią, przed świętami, bo żeśmy się rozjechali do domów, że nie będzie kolacji wigilijnej. Po prostu, żebyśmy się nie mogli spotkać w grupie, żeby nie było możliwości przedyskutowywania. Ale my żeśmy postanowili jednak się spotkać i w ciągu dosłownie 10 minut cała sala, stołówka została przeorganizowana, poustawialiśmy stoły, krzesła i zwołaliśmy całą młodzież z internatu na kolację wigilijną. Była wspaniała. Jedzenia prawie nie było, bo dyrektor nam zabronił wydawać jedzenie, ale pośpiewaliśmy kolędy, rozjechaliśmy się do domów i w domu każdy rozmawiał z rodzicami na temat co się wydarzyło w szkole, co dalej robić. I dostaliśmy chyba wszyscy wówczas takie jakby wsparcie od rodziców, że idziemy dobrą drogą, że powinniśmy tak dalej robić, bo to jest droga z Bogiem, a zawsze jak idziemy z Bogiem, to idziemy w dobrą stronę, w dobrym kierunku. I po powrocie do szkoły znowu zaczęliśmy strajkować. No już tutaj chyba i dyrektor był trochę inaczej przygotowany. Śpiewaliśmy pieśni na tych apelach. Nie było żadnego skutku. U nas było popiersie Stanisława Staszica. Też uznaliśmy, że to jest przecież..., on był patronem szkoły. To był ksiądz, więc jego myśli, jego hasła powinny być wzorem dla nas, dla uczniów. Zawiesiliśmy na jego popiersiu krzyż, zawiesiliśmy hasło wspierające do walki i śpiewaliśmy pieśni. Dyrektor nam się kazał porozchodzić do klas, młodzież się porozchodziła, ale na drugi dzień postanowiliśmy dalej kontynuować nasz protest. Spotkaliśmy się na auli. Postanowiliśmy się nie ruszać stamtąd w ogóle. Śpiewaliśmy i modliliśmy się ponad godzinę, może do dwóch nawet, i dyrektor zarządził rozejście się do klas i kazał pospisywać uczniów z nazwiska. I wtedy nasza młodzież jakby się przestraszyła konsekwencji, co będzie dalej. Po co te nazwiska? Rozeszliśmy się, ale postanowiliśmy..., później spotkaliśmy się w grupach, że jednak to chyba było tylko zastraszenie. Idziemy do kościoła, do Garwolina na piechotę, ponad cztery kilometry prosić o jakby wsparcie księży, jakby o otuchę duchową. I tak było. Poszliśmy pomo-

daliśmy się. Ksiądz nas wspierał. Wszyscy żeśmy się tak wzmocnili, to takie rozbitcie i taka trochę niepewność minęła. Wspomnę o takich sytuacjach, gdzie młodzież była czasami taka zdezorientowana i pogubiona. My w maturalnych klasach byliśmy dorośli, można powiedzieć, i tacy bardziej stanowczy. Młodsze klasy miały chwile zwątpienia i zastanawiały się, czym to dalej grozi takie zachowanie. Próbowaliśmy wieszać krzyże w korytarzach szkoły i w klasach, ale niestety te osoby, które akurat dokonały tego aktu musiały być wskazane przez nauczyciela. I próbował dyrektor ich pociągnąć do konsekwencji. Później prawdę mówiąc do niczego nie doszło, ale młodzież się bała. Czuliśmy się tacy troszeczkę, troszeczkę tacy pogubieni. I było zebranie rodziców. Dyrektor co roku jest..., znaczy kilka razy w roku jest zebranie rodziców. Tylko dyrektor tutaj się bał chyba też takiego dużego zgromadzenia rodziców, więc zarządził zebrania rodziców klasami, nie całą szkołą naraz. Myślał, że tym sposobem wygra, jakby zapraszając rodziców wyrzuceniem dzieci ze szkoły. Ale rodzice znowu stanęli po naszej stronie. Rodzice procesjonalnie powiesili krzyże tam, gdzie były pozdejmowane. Nas wsparli. Powiedzieli, że idziemy dobrą drogą, bo w niedzielę było zebranie rodziców. My już tacy zadowoleni. W poniedziałek idziemy do szkoły. Krzyże są już, sprawa zamknięta, nie ma się czym stresować, będzie ok. W poniedziałek było ok, ale we wtorek wchodzimy do szkoły, a krzyży znowu nie ma. Czyli znowu dyrektor po cichu, prowadził z nami cichą wojnę, nic nie mówiąc i nie dyskutując z nami. Znowu konsternacja, gniew, złość. Postanowiliśmy zebrać się na dużej przerwie i zademonstrować naszą niechęć do działań dyrektora. Śpiewaliśmy pieśni i modliliśmy się, i postanowiliśmy, że wieczorem, znaczy po lekcjach, bo dyrektor nam powiedział, że absolutnie nie możemy strajkować, to jest szkoła, miejsce publiczne i nie ma miejsca ani czasu, ani na jakieś takie zachowania. Myśmy uznali, bo cały czas my mieliśmy gdzieś z tyłu głowy, że musimy to, co robimy, musimy robić zgodnie z prawem, żeby nikt nam nie zarzucił, że dorośli nami dyrygują – nie dyrygowali, że nauczyciele nam sugerują jakieś zachowania. Nikt nam niczego nie sugerował, że to, co robimy, to robimy po to, żeby nie chodzić do szkoły, żeby nie było lekcji – nie było czegoś takiego. Chcieliśmy się uczyć, chcieliśmy kontynuować naukę. Nie pomagali nam nauczyciele. My sami decydowaliśmy o wszystkich naszych działaniach i tu postanowiliśmy to udowodnić. Zebrałiśmy się po lekcjach, żeby na piechotę iść do kościoła i modlić się o wsparcie księży i o powrót krzyży. Umówiliśmy się tam na piętnastą, już nie pamiętam dokładnie, ale tak po zajęciach. A mnie moją koleżankę Elkę z klasy i Tadeusza wezwał dyrektor Domański na rozmowę. Trochę byliśmy przestraszeni, że już się zaczynają jakieś represje, ale on wskazał nam pudełko po butach leżące na stole u niego w gabinecie i powiedział, że tu są krzyże z naszych pracowni, że mamy je sobie zabrać. No to, że tak powiem, znowu coś w rodzaju policzka. Jak to zabrać i dlaczego krzyże w pudełku po butach? Ja już od razu miałam, że to jest profanacja świętych emblematów i nie chcieliśmy zabierać. Ale powiedział nam, że jak my ich tego nie zabierzemy, to on wyrzucić do śmieci. No to już trochę podziałało. Wzięliśmy te krzyże i mówimy: „idziemy razem, zaniesiemy w tej procesji do kościoła”, ale niestety ksiądz..., nie ksiądz – dyrektor podstawił nam taksówkę, nam trójce, i kazał nas zawieźć do kościoła z tymi krzyżami. Więc pojechaliśmy. Nie było innego wyjścia i po drodze mijaliśmy naszą całą szkołę, która szła z krzyżem, takim dużym procesjonalnie do Garwolina. Dojechaliśmy do Garwolina, do kościoła, do księdza Bieńki, który wtedy miał religię z naszą klasą, więc był naszym takim mentorem. Z wielkim płaczem. To była... To było coś w rodzaju jakbyśmy, jakbyśmy szli na pogrzeb, jakbyśmy chowali te krzyże, grzebali, jakby się już wszystko zawaliło dla nas. Co robić w tym momencie? Dyrektor zebrał, wyrzucił, nas powyrzucił ze szkoły... Ksiądz powiedział: „Spokojnie, jeszcze nie wszystko jest stracone”. Młodzież dotarła do szkoły, ja całą mszę trzymałam te krzyże w pudełku. Msza się odprawiła. Płakaliśmy. To była msza dla mnie, w moich odczuciach, i ja to pamiętam jako właśnie taką mszę ciężką, taką żałosną. Cała młodzież była zapłakana, że to już jest koniec. Takie mieliśmy odczucie. Ale ksiądz Bieńko takie nam

powiedział wtedy kazanie, tak nas dowartościować. Powiedział, że te krzyże zostaną tutaj w Garwolinie, w kościele tylko na jakiś czas. I rzeczywiście później zrobili taką makietę jakby, wszystkie te krzyże zostały zawieszane na tej planszy i z podpisem: „Nie było dla Ciebie, Chryste miejsca w naszej szkole”. Ale my byliśmy tak podbudowani, tacy podekscytowani, że rzeczywiście co z tego, że zdjął krzyże te. Przecież można powiesić następne. Nie odpuścimy. To nie jest walka na chwilę. Wróciliśmy na piechotę, też do Miętnego, do internatu, ale już tacy wzmocnieni, podbudowani i z planem działań na następny czas. Postanowiliśmy, że nie odpuszczamy już teraz, że musi nam dyrektor stanąć twarzą przed całą szkołą i powiedzieć dlaczego, po co, na jak długo. I następnego dnia żeśmy się zebraли na dużej przerwie. Chcieliśmy iść na apel, ale dyrektor nas nie wpuścił na górę, bo tam na górze były apele, więc żeśmy się ustawili na dole w korytarzu i śpiewaliśmy, i modliliśmy się. Był odmawiany różaniec z rękami podniesionymi do góry. Nauczycielki widziały pokątnie płakały widząc nas całą młodzież taką rozmodloną. Przyszedł dyrektor i powiedział, że koniec tego: „Władze państwowe są zawiadomione. Przyjadą do nas na spotkanie, będą z nami rozmawiać” – „Kiedy?” – „Dziś po południu”. „No to my poczekamy” – mówimy. Później za jakiś czas znowu przyszedł. Cały czas śpiewamy i się modlimy. Przyszedł znowu dyrektor i powiedział, że nie będziemy tutaj czekać. Mamy się rozejść do klas i wybrać przedstawicieli z naszej całej grupy, bo władze państwowe powiedziały, że z motłochem rozmawiać nie będą, żeby wybrać przedstawicieli i wtedy to będzie dyskusja. No to mówimy, no to w takim razie dobra, wybraliśmy, tylko powiedzieliśmy tam od razu, że to są osoby, które reprezentują całą szkołę, żeby przypadkiem nie zostały te osoby pociągnięte do odpowiedzialności, że są przywódcami strajku albo są jacyś tam na świeczniku. To są przedstawiciele młodzieży. Odbyło się spotkanie z tymi właśnie władzami, ale też mieli przyjechać na 8.00 rano. My czekaliśmy. Nie przyjechali. Czekaliśmy całą szkołą, wkurzeni. Mieli przyjechać na 14.00. Nie przyjechali. Znowu nie było tego spotkania. Dopiero na 20.00, na 20.00 wieczorem dyrektor zebrał w takim małym pomieszczeniu tych przedstawicieli z naszej grupy i przedstawicieli władz. To był na Nasiadko, to był pan z ministerstwa rolnictwa Jurczak, Jurczak chyba się nazywał. I chyba jeszcze dwie osoby z władz i nasi trzej dyrektorzy. No i jak się odbyło spotkanie? Na początku ktoś tam, już nie pamiętam dokładnie teraz kto, kiedy i w jakiej kolejności, ale sens był taki, że na początku wstał któryś z tych oficjeli i przedstawił nam jaką wspianą mamy szkołę, jak zainwestowana przez rząd, jak my nie doceniamy tego co mamy. Jacy jesteśmy podli. Powinniśmy tutaj ich wszystkich w cudzysłowie teraz po rękach całować za to, że mamy możliwość uczenia się w tak pięknej i w tak wspaniale wyposażonej szkole. Potem wystąpił dyrektor i powiedział, że to jest szkoła świecka, w której nie ma miejsca na znaki i emblematy religijne i katolickie. Jak chcemy oficjalnie swoją wiarę religijną wyznawać i pokazywać to, co czujemy, to jest miejsce na te sytuacje i te rzeczy typu krzyże w kościele i na lekcjach religii. No i wówczas rozwinęła się dyskusja. My jako młodzież próbowaliśmy im udowodnić, że krzyż jest dla nas czymś więcej niż krzyżem zrobionym z drewna czy plastiku, powieszonym na ścianie szkoły. Że krzyż nam daje poczucie pewności siebie. Któraś dziewczyna powiedziała, że krzyż jest nawet na..., symbolem na karetkach pogotowia, że to jest symbol ratunku. No to podsumowano nas w ten sposób, że my głosu nie mamy, a jesteśmy tylko marionetkami w rękach dorosłych i mówimy to, co nam ktoś tam kazał powiedzieć. Wstali i wyszli. Godzina 10.00, czy przed 10.00, zebranie, spotkanie skończyło się w zasadzie niczym. Nam, prawie nie dopuszczono nas do głosu. Większość czasu oni głosili swoje monologi, a to, co myśmy już chcieli powiedzieć, takie konkretne rzeczy, nawet powołując się na patrona szkoły – księdza, że to nieprzypadkowo on jest patronem. Dlaczego nie Lenin na przykład, tylko właśnie ksiądz Stanisław Staszic? Nie dali nam, że tak powiem, wytłumaczyć, dlaczego chcemy i dlaczego to dla nas jest ważne, żeby krzyż wisiał w szkole jako znak i symbol chrześcijaństwa. Wyszli. Spotkanie się skończyło. No to my byliśmy oczywiście

znowu wściekli, zdegustowani, sfrustrowani w ogóle, że nas kolejny raz dorośli ludzie – władze potraktowały z lekceważeniem, z taką wyższością, że my jesteśmy marionetkami, że my nic nie znaczymy, że w ogóle po co my głos zabieramy w tej kwestii? No i żeśmy zaczęli się dalej konsultować. Poszliśmy do internatu. Co robić następnego dnia? Zaczęły dziewczyny i chłopaki pisać wiersze okolicznościowe z tej okazji. Spotykamy się następnego dnia znowu w szkole. Przekazujemy młodzieży naszej skutki tej narady, czyli, że w zasadzie do niczego nie doszło, nic się nie zmieni w szkole. Jeżeli my ustąpili w tym momencie, to tak jakby nic się nie zadziało. Szkoła jest świecka. Emblematów świeckich nie ma prawa tutaj być według władzy i albo my się z tym godzimy, albo nie. No i zapadło, że się nie godzimy, że będziemy..., teraz już w zasadzie skoro władze szkolne i państwowe uznały, że temat zamknięty i mamy zacząć normalną naukę, bo prawdopodobnie, jak to oni powiedzieli, my jako maturalna klasa chcemy doprowadzić do tego, żeby do matury nie doszło. Co jest dla nas..., było kompletnym absurdem, no bo nie po to chodziliśmy 5 lat do szkoły, żeby do matury nie przystępować. Spotkanie następne naszej młodzieży, też całkowicie w duchu religijnym, w modlitwie i w śpiewach kontynuowaliśmy. Nosiliśmy krzyże na piersiach, które dostaliśmy od biskupa. Na początek każdej lekcji śpiewaliśmy, odmawialiśmy krótką modlitwę, ale to tylko cały czas po to, żeby pokazać dyrektorowi, nauczycielom, że nie odpuściliśmy, że chcemy, żeby krzyże były zawieszane, i to, że w tej chwili akurat nie strajkują tak stricte ostro jak we wcześniejszych dniach, to nie oznacza, że my zapominamy o sprawie. Planowaliśmy, co robić dalej. Były rozmowy prowadzone między biskupem a władzami państwa, czy władzami województwa, co oni mają z nami dalej zrobić. Więc czekaliśmy, że może tam na górze się sprawa rozegra. Może już my nie będziemy musieli tutaj nic robić, że biskup z oficjelnymi się dogadają i nagle przyjdzie któregoś dnia do szkoły, krzyże wiszą, lekcje się rozpoczynają i wszystko trwa dobrze. No ale niestety tak lekko nie było. I co dalej? Spotykamy się, modlimy się. Wspomnę sobie tutaj na mój pamiętnik, który w tym czasie pisałam, bo obawiałam się, że te informacje, które te rzeczy, które się wówczas działy, po prostu ulegną zapomnieniu. Lubiłam język polski, spisywałam. Pisałam pamiętnik. „Jest dzień 5 marca”. Krzyże już wszystkie były pozajmowane i te, co rodzice zawiesili, i te, co myśmy zawierali. Więc myśmy wtedy uznali, że wóz albo przewóz. Popatrzyliśmy po ścianach. Nie. 6 marca postanowiliśmy, że wszyscy przychodzą do szkoły na 8.45, bez względu na to, czy zaczynają się lekcje wcześniej czy później. Zaczynamy dzień od pieśni religijnych i kontynuujemy aż do momentu, gdy wyjdzie dyrektor i powie nam o postanowieniach rady pedagogicznej, co w związku z daną sytuacją rada pedagogiczna postanowiła. Czekaliśmy na dyrektora, śpiewaliśmy pieśni, ale nie wyszedł. Z perspektywy czasu to ja mam wrażenie, że dyrektor chyba po prostu bał się takiej bezpośredniej konfrontacji z nami i unikał tego za wszelką cenę. Myśmy czekali, śpiewali kilka godzin. Potem rozeszliśmy się do klas z postanowieniem, że idziemy do kościoła do Garwolina, prosić Boga o wsparcie. Miała to być taka msza przebłagalna, taka taka, żeby nam udało się zakończyć ten cały proces. O tym, że idziemy wieczorem po południu do Garwolina, to już wiedzieli nasi księża. Powiadomili też Liceum Ogólnokształcące i Ekonomiczne z Garwolina, że my będziemy, że przychodzimy się modlić. I te szkoły, bo w ogóle wiele szkół z całej Polski wspierało nasz protest. Przesyłali do nas listy motywujące, wspierające nas w tym, co robimy. Liceum, te dwa licea z Garwolina też nas wspierały. I tutaj jak była ta msza popołudniu, to też te dwie szkoły praktycznie całe przyszły, przyszły na mszę. Po mszy rozeszliśmy się, my procesjonalnie wszyscy, bo nas było bardzo dużo, wróciliśmy do internatu z myślą, że jutro, czyli następnego dnia 7 marca rozpoczynamy strajk, jakby taki konkretny, rzeczowy. Albo wóz, albo przewóz. Spotkaliśmy się, ale nas już nie wpuścił dyrektor. Spotkaliśmy się na dole na korytarzu i śpiewaliśmy pieśni, trwając w modlitwie cały czas. Z mocnym postanowieniem, że się nie rozejdziemy. W międzyczasie, to już była tam godzina po południu, większość nas była z internatu, więc jeśli chodzi o posiłki, to tylko internatowe. Okazało się, że dyrektor zabronił

wydawać obiadów dla nas, więc cała młodzież była prosto głodna. Zrobiliśmy składkę i chłopaki poszli, tam nie daleko był sklep spożywczy, żeby kupić dla nas, dla całej szkoły coś, cokolwiek do jedzenia. Gdy oni wyszli do sklepu, część chłopaków też pobiegła do internatu po koce, bo stwierdziliśmy, że to już jest koniec. My już się stąd nie ruszymy. Pobiegli po koce, żeby tam na górze, w auli była taka aula jedna wykładana matami treningowymi, bo mieliśmy grupę zapaśniczą i tam trenowali. Więc na tą aulę żeśmy się przenieśli i postanowiliśmy tam trwać do końca. Tamci pobiegli po koce, druga część po jedzenie, ale w międzyczasie okazało się, że dyrektor wydał polecenie pozamykania szkoły, że ci uczniowie, którzy wyszli, nie mieli prawa wejść z powrotem. No to znowu wielka konsternacja i wielki strach co dalej i jak my wytrwamy. I szkoda tamtych, co poszli. Oni muszą do nas dołączyć w jakiś sposób. Poustawiał dyrektor dyżurnych nauczycieli przy drzwiach szkoły i przy oknach, żeby nie mogli wejść. Więc postanowiliśmy, że schodzimy wszyscy z góry do drzwi wejściowych, przy których stała jedna nauczycielka i pilnowała. Mieliśmy podniesione ręce do góry ze znakiem wolności i odśpiewaliśmy „Rotę”. Nauczycielka stała i płakała. Myśmy potwierdzali wszystkie drzwi. Ci, co mieli dojść, nie mogli wejść, zostali wpuszczeni i z tym jedzeniem, i z kocami, z pieśnią na ustach z powrotem poszliśmy na górę. Po rozdzielaliśmy jedzenie między wszystkich tyle, ile starczyło. Ale tak wszyscy się ponajadali. Było spokojnie. Dalej trwaliśmy w modlitwie w spokoju. Nie było kłótni, nie było jakichś swarów. Naprawdę atmosfera była taka uduchowiona, pomimo że wszyscy byli i zmęczeni, i sfrustrowani, i głodni też można powiedzieć, to byli spokojni. Dochodzi już wieczór, późna godzina, koło 9.00. My już jesteśmy wszyscy nastawieni na to, że śpimy na tych matach. Wchodzi dyrektor ze swoją świtą i no ogłasza nam, że koniec tych głupot. Szkoła zostaje zawieszona, wszyscy mamy się natychmiast stąd wynieść, bo okupowanie budynku państwowego nocą grozi karą pozbawienia wolności. No to znowu nas trochę przestraszył, no bo było wśród nas wiele osób, które już były pełnoletnie, więc jakby podlegały tej karze więzienia. Baliśmy się o nas wszystkich, o tych szczególnie. Więc uznaliśmy, że trzeba się rozejść. Podnieśliśmy wówczas znowu ręce do góry ze znakiem wolności. Odwróciliśmy się plecami do dyrektora i odśpiewaliśmy „Rotę”. Wyszliśmy po tym odśpiewaniu ze szkoły, ale postanowiliśmy, że nie idziemy spać. To nie jest moment na to, żebyśmy się wszyscy grzecznie rozeszli i rozjechali do domów, tak jak nam kazał zrobić pan dyrektor. A już dawno nie słuchaliśmy jego poleceń. Postanowiliśmy złapać tylko z internatu kurtkę i buty i idziemy do Garwolina, do kościoła. W momencie kiedy wyszliśmy ze szkoły, większość oczywiście szła już w procesji w tej kolumnie, ale niektórzy uczniowie pobiegli jeszcze po ciuchy. Zamknięty był, zamknięty był internat, klamki powyjmowane, więc poradzili sobie w ten sposób, że wybiegali, wyskakowali z okien pokoi na parterze. W momencie, gdy ja się obejrzałam na szkołę, na internat, ile nas idzie w ogóle w grupie, i zobaczyłam tych kolegów i koleżanki, którzy wyskakują z okien i biegną do nas do kolumny, to miałam wrażenie, że uciekają z płonącego budynku. Tam nic nie płonęło, ale ja takie odniosłam wrażenie, że to było coś tak silnego i tak motywującego, że oni chyba nie widzieli żadnej innej drogi. Po prostu trzeba było dobiec do grupy i iść razem do Garwolina. Doszliśmy do tej głównej trasy Warszawa – Garwolin i tu widok, który nas zastał po prostu zmroził krew w żyłach. Mnie się nogi ugięły, serce podeszło pod gardło, ja po prostu, ja zaniemówiłam. Ciemna noc, tak jak wspomniałam, a na całej długości ulicy, szerokości ulicy, dokąd sięgał wzrok, widziałam tylko migające światła syren polic..., milicyjnych wówczas. Stały milicyjne samochody „Nysy”, potocznie zwane „sukami”, na sygnalach. Sygnałów dźwiękowych nie było, tylko światła. Ciemna noc i te migające światła i umundurowane oddziały ZOMO. No, miałam wrażenie, że to już jest w ogóle łapanka, że nas połapią i w te samochody milicyjne zapakują i wywiozą gdzieś, nie wiadomo gdzie. Chwila konsternacji. Popatrzyliśmy po sobie zrozpaczeni, co będzie dalej. Ale mówimy: „Dopóki nas nikt nie zatrzyma idziemy dalej”. I szliśmy poboczem tej głównej drogi, żeby nie zakłócać ruchu, żeby nam nikt niczego nie mógł

zarzucić. Idziemy i śpiewamy. Te policyjne suki krążyły wzdłuż naszej grupy, strasząc nas tym. Oddziały ZOMO szły też wzdłuż. Aż doszliśmy do pewnego momentu. To tak było pewnie około pół kilometra, może do kilometra od tej głównej krzyżówki, gdzie drogę zastawił nam kordon zomowców uzbrojonych jak na akcję. Mieli hełmy, tarcze, pały, buty. Tupiąc tymi butami w asfalt i uderzając pałami w tarcze spowodowali taki hałas i taki taki strach w naszych sercach. Z jednej strony na sygnałach „suki” policyjne, milicyjne, z przodu oddziały ZOMO uzbrojone po zęby. Ja myślałam, że to już jest koniec. Część młodzieży uciekła w pole, koło mnie zemdlały dwie dziewczyny, chłopaki się..., wszyscy się przestraszyli. Myśmy byli wtedy w takim..., w takiej rozterce i w takim załamaniu, że teraz to już w ogóle chyba nas strzelają tutaj. I oni, tupiąc nogami, parli na nas, powodując, żebyśmy się wycofali. Myśmy stali w miejscu, bo uznaliśmy, że my już nie mamy innej drogi. To już jest nasz ostatni alert. Szkoła zawieszona, nie mamy dokąd wracać, lekcji nie będzie. Musimy dotrzeć do Garwolina, do kościoła, bo tam w zasadzie czuliśmy się najbardziej bezpieczni. No ale nie mogliśmy przejść przez ten kordon. Postaliśmy tam, nie wiem ile. Pół godziny, godzinę i dojechali do nas księża nasi z Garwolina. Okazało się później, że doszły do nich informacje, co się dzieje na drodze i przyjechali nas wesprzeć. Ale jak dojechali do nas, to powiedzieli, że niestety musimy się chyba wrócić, bo za tym kordnem tych zomowców stoi następny, więc nie ma siły, żebyśmy się przedarli przez nich. Oni nas po prostu nie puszcza. No ale to chyba ta ich obecność tych księży i to takie wsparcie duchowe, że oni jeszcze nam powiedzieli, że na drugi dzień proszę, żebyśmy przyszli do Garwolina na Mszę świętą, oni w naszej intencji odpowiadają mszę. No to spokojnie wróciliśmy do internatu. Zomowcy szli za nami. Samochody jechały za nami. Weszliśmy do internatu. Jeszcze oni stali na placu szkolnym i patrzyli, żebyśmy poszli do pokoi. Wszyscy weszli do pokoi i wszyscy jak jeden mąż uderzali rękami w parapety, tworząc taką kocią muzykę, żegnając tych właśnie zomowców. To już było pewnie po północy sporo, poszliśmy spać. O szóstej rano nas zaczęli budzić nauczyciele w internacie, że mamy się zbierać i wyjeżdżać do domów. Dyrektor podstawił nam samochody, żeby nas porozwoziły, autobusy porozwoziły do Żelechowa, Sobień, Wilgi, tam takie miejscowości wokół Garwolina. No ale myśmy nie chcieli skorzystać z łaski i niełaski naszych dyrektorów i postanowiliśmy iść na piechotę do Garwolina, ale baliśmy się dojść do ulicy Głównej, że tam znowu będą czekały na nas te samochody milicyjne, że nas mogą zabrać. Więc udaliśmy się do kościoła przez pola. Był 8 marca, jeszcze pola były zamrożone, więc szło się nawet całkiem dobrze. No ale w pośpiechu, bo widzieliśmy z tych pól, to taka odległość około kilometra, że na tej drodze dojazdowej cały czas wzdłuż nas jechały te policyjne, milicyjne suki. Tak jakby oni nas cały czas obserwowali i czekają, aż my wyjdziemy na drogę publiczną. Z tobołkami, z walizkami, z torbami, przez te pola docieramy do cmentarza garwolińskiego. On był z tej strony właśnie miasta. Właściwie wpadamy do tego cmentarza, bo widzimy cały czas, że ci zomowcy się kręcą wokół, i zaczęli chłopaki dzwonić w dzwony, jakby wzywając na ratunek kogokolwiek się da, bo baliśmy się wyjść na drogę, na ulicę. Na tym cmentarzu trwaliśmy pewnie godzinę, może dwie. Nie wiem. Potem dotarły do nas informacje. Księża przystali ministrowi z informacją, żebyśmy próbowali się małymi grupkami dostać do kościoła. Pomogli nam taksówkarze garwolińscy wówczas. Podjechało kilka taksówek i nas poprzewozili do kościoła w Garwolinie. No i tym sposobem w miarę szybko dostaliśmy się do Garwolina, do kościoła, a tam, tam znowu dla mnie przeżycie było niesamowite, bo wchodzimy... Sorry... Wchodzimy, a cała nawa główna w kościele jest pusta. Ludność z Garwolina sfłoczona w nawach bocznych i przed kościołem. Czekali na nas od szóstej rano. My wchodzimy z płaczem, z pieśnią, przepraszam, z pieśnią na ustach, z krzyżem w ręku i z krzyżami tymi, które dostaliśmy od biskupa też w ręku, pokazując właśnie swoją determinację. Wchodzimy do kościoła i proboszcz wita nas ze łzami w oczach, dodając nam otuchy, że tak – w tym momencie nasza szkoła jest zamknięta. Nie mamy możliwości dalszej nauki. Ale to, co się teraz będzie

działo, to już jest niezależne od nas. My zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy, żeby zachować krzyż w kościele [szkole]. Dzięki nam o walkę..., dzięki nam o krzyż upomniał się też inne placówki w Polsce. Nie tylko szkoły, ale i szpitale i różne inne instytucje państwowe. My daliśmy przykład, że można, że wcale władze państwowe nie muszą decydować o wszystkim, co my czujemy i co my chcemy w życiu osiągnąć i jakie prowadzić życie. Szkoła we Włoszczowie i wiele innych szkół zjednoczyło się z nami i strajkowali. Może żadna szkoła nie strajkowali aż tak, z taką determinacją jak my, bo ryzykowali wszystko. Wyrzucenie ze szkoły. My jako maturzyści, że nie będziemy mieli matury po 5 latach nauki. No i proboszcz wtedy powiedział, że to, co myśmy zrobili, to już jest na obecną chwilę wszystko, co mogliśmy zrobić. Teraz to już tylko mogą toczyć się rozmowy na szczeblach wyższych, a my musimy czekać w domu na to, co zostanie postanowione. Po Mszy Świętej, która trwała też coś koło 2 – 3 godzin byliśmy zaproszeni na obiad przygotowany przez mieszkańców Garwolina w parafii i po obiedzie rozjechaliśmy się do domów. Ale umówiliśmy się od razu, że następnego dnia jedziemy do Częstochowy pociągiem, żeby prosić tę Matkę Boską o wstawiennictwo, o to, żeby te rozmowy na szczeblach wyższych toczyły się w dobrej mierze, żeby to wszystko, to nasze jakby poświęcenie nie poszło na marne, żebyśmy mogli wrócić do szkoły i skończyć tę szkołę, którą notabene ja bardzo lubiłam i pewnie wszyscy, bo chodziliśmy do tej szkoły. Pojechaliśmy do Częstochowy, ale mieliśmy już wtedy tzw. ogony. Śledzili nas cały czas, kontrolowali. Tam pomodliliśmy się. Dostaliśmy też błogosławieństwo i wsparcie. Dostaliśmy od tamtych księży Pismo Święte i różańce do modlitwy. No i wróciliśmy do Warszawy i rozjechali się później, każdy po swoich domach. Raz w tygodniu, we wtorki były organizowane takie katechezy prowadzone przez biskupa Jana Mazura. Biskup notabene już wcześniej ogłosił post o chlebie i wodzie, żeby wspierać się duchowo z nami i w każdy wtorek ten post kontynuował i w każdy wtorek prowadził katechezy. To było pewnie już tak w połowie kwietnia. Ja musiałam... Większość młodzieży zabrała dokumenty ze szkoły, ale nie mogli..., ze szkoły pooddawali dokumenty i poza wozili do innych szkół. Niby szkoły już te dokumenty przyjmowały, a potem się okazało na drugi dzień, że trzeba dokumenty zabierać, bo wojewoda..., wtedy to był warszawski czy siedlecki... [siedlecki], wydał dyspozycję, żeby nie przyjmować młodzieży z Miętnego. Więc tak prawdę mówiąc, to trzy czwarte, może 5/6 nawet została bez możliwości ukończenia szkoły w tym danym roku. Ja ze swoimi dokumentami czekałam w zasadzie dosyć długo, bo miałam nadzieję, że jednak postanowienia władz będą takie, że ja tu skończę tę szkołę. No ale niestety 15 kwietnia nie chciałam podpisać lojalki, czyli tak zwanej deklaracji wyrażającej zgodę na świecki charakter szkoły. Musiałam zabrać dokumenty, praktycznie wszyscy musieli zabrać. Jakiś czas jeszcze byłam zawieszona w próżni, ale później udało mi się dostać do szkoły rolniczej w Sokołowie Podlaskim. Nie wiem, może tamten dyrektor nie dostał dyspozycji. Dostałam się tam i tam, broniłam pracę dyplomową. W zasadzie chodziłam tylko 2 tygodnie do szkoły, bo do 30 kwietnia była szkoła dla maturzystów. Matura była 9 maja. Do matury przystąpiłam, aczkolwiek nie powiem, bo miałam problemy w Sokołowie w szkole od jednego nauczyciela. Myślę, że to był też nauczyciel, taki troszkę komunista, bo nie patrzył na to co ja potrafię, tylko po prostu mnie dyskwalifikować i wystawiał mi negatywne oceny. Nawet mnie nie chciał do matury dopuścić. No ale summa summarum obroniłam pracę, zdałam maturę z dobrą oceną. Ale świadectwo mam ukończenia szkoły w Sokołowie Podlaskim, a nie w Miętnem, co dla mnie osobiście jest takim troszkę afrontem, bo dumna jestem z tego, że chodziłam do tamtej szkoły, że miałam takie możliwości jak niewiele osób, bo szkoła była rzeczywiście na bardzo wysokim poziomie i taka przyjazna dla nas, dla młodzieży. No ale nie dane mi było ukończyć tej szkoły. Jak skończyłam szkołę chciałam iść na studia, ale chyba się za wcześnie zakochałam. Wyszłam za męża. No i tutaj w Siedlcach już zostałam. W tej chwili prowadzę już od 30 lat można powiedzieć kwaciarnię. Czyli jakby moje naturalne zapędy takie i zamiłowanie

do natury, do przyrody zostało. Kocham kwiaty, pracuję z nimi już ponad 30 lat. W tej chwili już moje córki, mam dwie córki, prowadzą też kwaciarnię. Zaraziłam je chyba swoją pasją. Moje wnuczki też pracują, mają 6 i 8 lat, ale też bardzo często pomagają mi. Traktuję to jako zabawę, bo lubię dzieciaki i te moje wnuki. Mam siedmioro w obecnej chwili. Uczę kwaciarstwa, uczę florystyki, bo to jest zawód, ja bym to nazwała taki wolny, artystyczny, sprawiający przyjemność. Mój mąż mnie zawsze wspierał. To też myślę, że to jest ważne, bo w ostatniej klasie ja już z nim chodziłam. Byliśmy parą i przez cały ten strajk, przez te wszystkie wydarzenia on był z tyłu mnie. On zawsze dawał mi wsparcie, zawsze mogłam na niego liczyć, liczyć. Po tym, jak robiłam pracę dyplomową, a moją pracą była prezentacja buraków pastewnych. Pomagał mi fizycznie tę pracę zrobić. Jeździł ze mną do Sokołowa na egzaminy. Także bardzo duże miałam poparcie i w mężu, i w rodzicach. I dziękuję Bogu za to właśnie, że miałam się na kim wspierać. Myślę, że dlatego szłam tą drogą. Może tak wspomnę z mojego pamiętnika, który pisałam wówczas jakby na żywo. Takie wspomnienie z dnia 7 marca: „Po odśpiewaniu Apelu Jasnogórskiego, około godziny 21.30 przyszedł do nas prokurator z wyjaśnieniem, że za okupowanie budynku nocą grozi kara grzywny lub pozbawienia wolności do lat dwóch. Po czym dyrektor odczytał zarządzenie wojewody siedleckiego o zawieszeniu szkoły do odwołania. Po usłyszeniu przewidywanego już przez nas werdyktu demonstracyjnie odwróciliśmy się tyłem do dyrektora i prokuratora i Telewizji Polskiej. Z prawą ręką uniesioną do góry zaśpiewaliśmy „Rotę”. Następnie utworzyliśmy „łańcuch jedności”, zaśpiewaliśmy pielgrzymkowe pieśni i „Cichy zapada zmrok”. Baliśmy się, że dyrekcja, znając przywódców, zechce ich ukarać i obawiając się wtargnięcia milicji opuszczamy budynek szkoły i udajemy się do kościoła w Garwolinie. Niektórzy byli tylko w swetrach i kapciach, więc pobiegli do internatu po buty. Kierownik jednak zamknął drzwi i nikogo nie chciał wypuścić. Z okien na korytarzach wyjęto klamki, lecz nasi przyjaciele poradzieli sobie. Naprawdę trzeba było to widzieć. Skakali z okien w ciemność, niektórzy przewracali się. Wszyscy biegli do nas, byśmy byli razem. Widząc to, miałam wrażenie, że oni uciekają przed pożarem. Gdy wszyscy dobiegli, niosąc krzyż na czele i z pieśnią na ustach udaliśmy się do Świątyni Boga. Lecz oto nowa niespodzianka. Przykra. Gdy doszliśmy do głównej szosy, z lasu wyjechały na światłach i sygnałach milicyjne „Nisy”. Poczułam serce w gardle. Wszyscy przestraszyli się tego widoku w środku nocy. Po przełamaniu zaskoczenia i strachu szliśmy dalej poboczem, aby nie zakłócać ruchu. Cały czas śpiewamy. „Suki”, było ich osiem albo więcej, jeździły kilka razy tam i z powrotem, chyba chcąc nas ostrzec. Wreszcie zatrzymały się i naprzeciwko wyszli uzbrojeni zomowcy. Stanęliśmy jak wryci. Dziewczyny płakały. Dwie zemdlały. Część rzuciła się do ucieczki w pole, ale zaraz wrócili. Byliśmy zdezorientowani, nie wiedzieliśmy, co robić. Zomowcy mieli pały i gaz. Po pewnym czasie dostaliśmy cynk, że musimy wracać, bo nie mamy szans przedostać się, ponieważ za tymi zawodowcami stała następna grupa z psami i uzbrojona od stóp do głów. Wróciliśmy zatem do internatu. Przed odejściem zaśpiewaliśmy „Rotę”. Na koniec pożegnaliśmy jeszcze „gliny” [zompwów] tradycyjną kocią muzyką, wyciem i gwizdami. W internacie dowiedziałam się, że od zomowców czuć było [alkohol]... 8 marca. Straszne przebudzenie. O 6.00 rano nasza wychowawczyni budzi nas i wygania do domów. Nie chcą dać nam śniadania. Dyrekcja przygotowała trzy autobusy do Wilgi, Sobień i Żelechowa. Pan Bogowski nie chciał, abyśmy udali się rano do kościoła. Bogowski to był zastępca dyrektora. Nikt jednak nie skorzystał z jego uprzejmości i przez pola udaliśmy się do miasta. Chcieliśmy zniknąć, uniknąć ponownego spotkania z ZOMO. Gdy byliśmy już na przedmieściach ZOMO odcięło nam drogę. Schroniliśmy się wówczas na cmentarzu. Chłopcy bijąc w dzwon wzywali ratunku. Na cmentarzu byliśmy około godziny. Milicja kazała nam wracać do Miętne. My nie chcieliśmy. Po pewnym czasie dotarli do nas ministranci i powiedzieli, że księża radzą nam uciekać małymi grupkami i przedzierać się do kościoła. Tak też uczyniliśmy. Na miejsce dotarliśmy dopiero około 9.00. Tego dnia Liceum Ekonomiczne i Ogólne

z Garwolina także nie poszły do szkoły i razem z nami uczestniczyły w modlitwach. Nabożeństwa skończyły się około 12.30, po czym udaliśmy się na plebanię na przygotowany dla nas posiłek. Tego dnia także udaliśmy się w piątek w nocy na Jasną Górę. Dyrektorem naszej szkoły był Ryszard Domański. On pochodził z tamtych okolic, ja osobiście..., to jest tylko moje zdanie, ja go oceniam w ten sposób, że był pracownikiem państwowym, był komunistą, był mówcą. On chciał wykazać się przed swoimi władzami tym, że jest bardzo dobrym dyrektorem, co pokazało zarządzanie szkoły, skompletowanie załogi, z którą pracował, i chciał im pokazać, że taki protest młodzieży wiejskiej jest dla niego żadnym problemem. On to rozwiąże, rozwikłać w ciągu kilku dni i nie ma się czym przejmować. Napotkał się na ogromny opór z naszej strony, z czym sobie chyba nie dawał rady, bo tak jak wspominałem, on nie chciał się skonfrontować z nami, wydawał dyspozycje nauczycielom. Był tak zwany nauczyciel mediator, który wyrażał zdanie dyrektora i rady pedagogicznej, natomiast on sam chyba nie miał śmiałości z nami rozmawiać. Ja usłyszałam tylko takie zdanie jedno kiedyś, powiedział mi to chyba ksiądz Bieńko, że na rozmowach jego z dyrektorem padło zdanie z ust dyrektora, że on nie wiedział, że ma tak wartościową młodzież. Myślę, że jest to dla nas z jego ust bardzo duży komplement, aczkolwiek on w oczach naszej młodzieży nie miał jakby dobrego zdania. Mogę tu przytoczyć wiersz, który jak wspominałam wcześniej, uczniowie sami wymyślali. Kto umiał, to pisał. I taki był wiersz o dyrektorze: „Dyrektorze, dyrektorze, gdzie twa godność? Twarz straciłeś. Czekaliśmy dwie godziny, by wyjaśnić sprawę świętą. Ty się bałeś, byłeś wszędzie, nasz samorząd zastraszyłeś. Lecz my dalej wiarę mamy, my się szybko nie poddamy, my walczymy do upadku. Dla nas krzyż to rzecz jest święta. Ciebie, panie dyrektorze spotka kara zasłużona za zniewagę twą i podłość, za łzy wszystkich, za rozterkę. Wstyd nam panie dyrektorze, za postawę twoją okrutną, wstyd przyniosłeś, całej szkole, znieważyleś. dobre imię”. Jeśli już tak wspominamy ważne nazwiska, to uważam, że... Bo ja patrzę i podchodzę do całej sprawy z pozycji uczennicy. Maturzystki. Dla mnie bardzo ważnym nazwiskiem był Jarek Maczkowski. Jest to mój kolega z prawie równorzędnej klasy. Był kimś w rodzaju... On miał srasznie dużą charyzmę ten chłopak. On był starszy od nas wszystkich, bo był przesuwany ze szkoły do szkoły. Przez to miał jakby trochę i pewność siebie większą i wystawianie lepsze. W każdym bądź razie miał bardzo duże takie uznanie wśród młodzieży. On był... U nas... Nasz internat był podzielony na dwie grupy, znaczy na dwie grupy. Internat był bardzo dużym budynkiem, jedna strona internatu, lewa była dziewcząt. W środku była stołówka i prawa strona internatu była męska. Spotykaliśmy się na stołówce, bo nawet wieczorem po ósmej nie można było przechodzić z męskiego do żeńskiego. Jarek mieszkał w internacie męskim i on jakby z pozycji właśnie tej swojej charyzmatyczności, siły, tam konsultował wszystkie zdarzenia z chłopakami. Chłopcy przynosili do niego pomysły i co dalej robić. Natomiast ja byłam taką aktywną osobą na stronie żeńskiej i my obydwójce, jakby konsultując siebie nawzajem, i to, co nam przynosili, jakie pomysły czy wiersze, czy działania na następny dzień nasi młodzi koledzy, żeśmy konsultowali i ustanawialiśmy dalszy plan działań. Tak że Jarek Maczkowski jeszcze dodatkowo był kimś takim, który umiał przemawiać. On właśnie często zabierał głos jak były rozmowy z władzami, on występował do dyrektora z zapytaniem. On był bardzo odważny. On się nie bał nikogo ani niczego. Ja się trochę bałam, szczerze mówiąc. Miałam dużo fajnych pomysłów, ale ta siła Jarka, ta jego taka bezpośredniość powodowała, że wszyscy nabieraliśmy odwagi i wszyscy zaczęliśmy po prostu głośno wyrażać swoje odczucia. Był dla nas wzorem godnym naśladowania. Już go nie ma dzisiaj między nami, niestety. No ale pamięć o nim myślę, że zostanie na wieki. W Miętym wówczas nie było żadnego domu parafialnego i nie było kościoła. Na lekcje religii chodziliśmy do Garwolina i co tydzień, tak jak te strajki trwały, nadal żeśmy chodzili na lekcje religii i tam dostawaliśmy wsparcie od naszych księży. Natomiast tutaj w szkole, zapytał pan o mediatora. Mediatorem uczynili na radzie pedagogicznej pana Rusaka i on w imieniu..., on był

polonistą, on w imieniu rady pedagogicznej oznajmiał na tych apelach cotygodniowych postanowienia rady pedagogicznej względem całego zdarzenia i stąd wiedzieliśmy, co się dzieje. Ale on był właśnie takim mediatorem. Nie wyrażał swojego zdania, tylko to, co musiał powiedzieć, co mu dyrektor czy tam rada pedagogiczna kazali. Natomiast inni nauczyciele. Inni nauczyciele różnie się zachowywali. Niektórzy nas wspierali, inni nie. Ale nauczyciele byli zagrożeni tym, że właśnie utracą domy, utracą pracę. Bali się oficjalnie zajmować jakiegokolwiek stanowisko. To była bardzo mała społeczność i wszyscy zamknięci w jednym gronie. Więc nawet ich rozumiem, że nie chcieli oficjalnie się wypowiadać ani stawać po jakiegokolwiek stronie. Natomiast niektórzy nauczyciele wspierali po cichu swoje klasy, popierając nasze działania i to dodawało otuchy tym, którzy mieli jakiegokolwiek wątpliwości. Nasza wychowawczyni, tak jak wspomniałam wcześniej, zawsze była przeciwna i ona oficjalnie stawiała w swojej swojej opozycji. Nie mogliśmy na nią liczyć. My jako nasza klasa piąta TH 5 [Technikum Hodowlane pięcioletnie] mogliśmy tylko wspierać się i rozmawiać na lekcjach z niektórymi nauczycielami o tym, co robimy i czy jest to dobre. Ale generalnie wszystko cokolwiek się działo w związku z tym strajkiem, to ja jako osoba, która gdzieś tam grałam, jakieś jedne z pierwszych skrzypiec, to mogę z całą świadomością i stanowczością powiedzieć, że wszystko było..., wychodziło od młodzieży. Nikt nami nie kierował i myśmy sami decydowali, co będzie następnego dnia. Czasami żeśmy śpiewali na apelu pieśń jakąś patriotyczną na rozpoczęcie na przykład. Albo jak była uroczystość szkolna ważna, to na przykład Hymn. Natomiast tutaj te pieśni religijne, pamiętam na tym pierwszym apelu, gdzie w ogóle pierwszy nasz protest i zapytanie, gdy chłopcy z klasy mechanizacji rolnictwa, TMR 5, to grupa 30 chłopów, oni stali koło mojej klasy na apelu, jak oni zainteresowani pieśnią „My chcemy Boga”, „Panno Święta”, to mnie przeszły ciary po plecach. Ja po prostu..., ja śpiewałam i znam wszystkie pieśni religijne, ale ja w tym momencie, gdy usłyszałam to w wykonaniu męski głosów, ja po prostu dławiałam się swoim głosem. Myślę, że te pieśni, które wykonywaliśmy dodawały nam takiej..., powodowały, że myśmy się jednoczyli ze sobą, że dawały nam wsparcie. To były zresztą, tak jak wszyscy znamy te pieśni religijne, „Rotę”. „My chcemy Boga”, one są bardzo wartościowe w słowach i same te słowa powodują, że jesteśmy silniejsi i czujemy się dobrze z tymi pieśniami na ustach. Modlitwy, które żeśmy prowadzili, też wcześniej nie były prowadzone. Myśmy się w szkole nie modlili, ale tu klęcząc np. na korytarzu, z rękami podniesionymi do góry w cierpieniu, można powiedzieć, bo cały różaniec jest długi i nikt się nie wyłapywał i wszyscy klęczeli z rękami w górę, powoduje zjednoczenie w cierpieniu, zjednoczenie w modlitwie. Zjednoczenie siły daje. To nas umacniało. To jest modlitwa, to jest pieśni. To nam dodawało spójności i wiary w to, że dobrze robimy, że idziemy dobrą drogą. Każdy chciał się w jakiś sposób jakby przyczynić do walki o krzyż. Były osoby u nas, w naszej, tej..., że miały dar jakiś tam poetycki, i wieczorami właśnie w internacie wymyślali, tworzyli. Myśmy później, bo to były czasy, jak wszyscy pamiętamy, lata osiemdziesiąte, gdzie nie było ani kserokopiarek, ani aparatów fotograficznych na taką skalę jak teraz. Zresztą zdjęcie trzeba było zrobić i zanieść do fotografa do wywołania. Wszystko było przepisywane. Więc założmy ktoś wymyślił jakiś wiersz wieczorem, albo przez dwa dni to wymyślał, i w ciągu jednego wieczoru przepisany był na przykład w trzystu egzemplarzach. Wszyscy chcieli jakiś wkład w to dać. Wszyscy się angażowali, każdy robił to, co potrafił zrobić. Jedni pisali, inni przepisywali. Nasza młodzież to była w zasadzie młodzież wiejska, szkoła rolnicza i w zasadzie okoliczna młodzież wiejska. Praktycznie wszyscy mieszkaliśmy w internacie i to był nasz jedyny kontakt. Nie było telefonów komórkowych, nie było krótkofalówek, radiofalówek. Wszystkie informacje przekazywaliśmy sobie ustnie, ale byliśmy zwartą, zgraną grupą. Nauczyciele organizowali nam mnóstwo wyjazdów już od wiosny. Jak było ciepło, to jeździliśmy na zjazdy harcerskie, bo u nas pręźnie działało i harcerstwo, i Związek Młodzieży Wiejskiej i ZSMP. W różnych grupach żeśmy działali i na tych wyjazdach też oczywiście, to były przeważnie week-

endowe, jednoczyliśmy się, zgrywaliśmy się z nauczycielami. Oczywiście nie wszyscy nauczyciele jeździli, bo żeby jechać z młodzieżą w wolnym czasie, to trzeba było to lubić. No i jeździli z nami nauczyciele chyba najfajniejsze, bo najbardziej wtedy nasze relacje się zacieśniały i najbardziej umieliśmy się dogadać z nimi. Zresztą w ogóle tak prawdę mówiąc, to większość nauczycieli była młoda. Ja miałam wtedy lat 19, 20, a połowa nauczycieli założyłymi miała lat 25, więc oni byli trochę tylko od nas starsi, więc nadawaliśmy na tych samych falach, można powiedzieć. Pochodziliśmy, ja pochodziłem akurat z miasta, ale większość pochodziła z wiejskich rodzin, i jedyną ichnią wówczas rozrywką to były wyjazdy szkolne, dyskoteki w szkołach. W naszej szkole myśmy często zapraszali, bo to była szkoła tak, no taka mieszana. Więcej dziewcząt było w szkole niż chłopaków. Nawet gości z zewnątrz. Inne szkoły przyjeżdżały na nasze dyskoteki, bo w szkole było fajnie. Nasza szkoła liczyła 600 uczniów, z czego 400 było w internacie, czyli 200 osób dojeżdżających. Tak jak myśmy policzyli się na tym ostatnim strajku na auli, gdzie tego wieczoru zamknęli szkołę, to nas było ponad 400 osób. Świadczy to o tym, że 200 gdzieś tam uciekło. I tak jak ja obserwuję np. na „Mojej klasie”, u mnie był tylko jeden chłopak w klasie, który był przeciwny strajkom. Nigdy nie chodził nawet na apele. On jeden. W mojej klasie. W innych klasach pewnie też były jakieś tam osoby. Lekcje się odbywały dla niego. Ale my z naszej klasy np. względem niego, nikt mu nie robił przytyków, nikt mu nie dokuczał. Ja np. uważałam, szanowałam go, bo uważałam, że to jest wielkie, wielkie świadectwo swojej osoby, że on jeden potrafi się przeciwstawić. Nie uległ presji i nie poszedł, jak to się mówi, jak baran na rzeź. Był przeciwny i nie obnosił się z tym w sensie takim, że nawoływał do łamania strajku. Nie, jemu to nie odpowiadało, nie brał udziału, stał z boku. I takich osób było kilka na pewno. Większość, tak jak wspominałam, większość była za i nie było czegoś takiego, że ktoś kogoś namawiał. Chciałam wspomnieć jedno takie zdarzenie było, które ominęłam. Po apelu nam dyrektor kazał rozejść się do klas. Myśmy się nie ruszyli z tego apelu i zaczęliśmy śpiewać, więc dyrektor zaczął krzyczeć na nas i kazał się rozejść. „Wszyscy mają iść do klas. Maturalne klasy mogą jedynie zostać”, bo chciał może nam coś oznajmić, ale wszystkie młodsze klasy miały iść na lekcję. I wówczas ta młodzież z tych młodszych klas, tych klas było bardzo dużo, zamiast na lekcję, to wyszli przed szkołę, stanęli przed wejściem do szkoły w ubraniach takich szkolnych, bez kurtek. A to była zima cały czas. I tam zaśpiewali kilka pieśni religijnych, dając tym samym świadectwo, że nie działają pod presją maturzystów, że nie robią niczego na siłę. Że oni jako młodsze klasy też strajkują i też chcą, żeby krzyże wisiały w szkole. Nikt nikogo do niczego nie zmuszał. Kto nie chciał, nie strajkowali. Nikt nikogo nie szykanował, nikt się z nikogo nie naśmiewał. Większość była oczywiście za. Dlatego. Dlatego wszyscy żeśmy strajkowali, można powiedzieć. Wyjątki tylko się nie angażowały. Dla państwa krzyż był tą wartością, wokół której się skupiliście jako uczniowie i której broniliście. Czy sądzi pani, że dzisiejsza młodzież mogłaby stanąć w obronie jakiejś wartości i bronić jej w podobny sposób do tego, w którym robili to państwo przed laty? Trudne pytanie, bo widzimy, jak dzisiaj młodzież jest zdezorientowana, jak ogłupiona jest przez media. Nie umiem tego powiedzieć, nie umiem zająć stanowiska. Uważam, że naszą siłą wówczas to było właśnie to, że nie było mediów i nikt nami nie zarządzał. I drugą naszą siłą było to, że byliśmy wszyscy w jednej grupie i żeśmy się łatwo mogli porozumiewać emocjonalnie, nie tylko zdając sobie relacje z tego, co się działo i będzie działo. Czy dzisiejsza młodzież by tak się zachowała? Myślę, że w trudnej sytuacji tak, jeśli by mieli do wyboru być albo nie być, to wybraliby tę lepszą drogę. Ale nie umiem tego powiedzieć. [Pięknie pani dziękuję]. Moja młodzież była cudowna.